TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, Wydawca i właściciel, 532 Noble Street, CHICAGO, ILLINOIS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie..$1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii..............$1.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 42. Chicago, Ill., Czwartek, 20-go Października, 1898. Rok XII.

Amalunga czyli córa puszcz.

Opowiadanie z czasów wojen pomiędzy Europejczykami a Indyanami w Ameryce Północnej.

(Dokończenie.)

Ten jednakże z wielkiem nieukontentowaniem wysłuchał ostatniego zwrotu mowy odszczepieńca. Strząsnął głową i ręką nakazał milczenie.

— Słowa Białego Wilka są prawdziwe, jednakże nie może rościć sobie prawa do rzeczy, która już jest własnością innego naczelnika. Córa puszcz jest częścią zdobyczy, którą Tlaskala dla siebie wybrał. Jego starość potrzebuje pielęgnowania.

Odszczepieniec uśmiechnął się na te słowa.

— Cóż to szkodzi? Córa puszcz może być córką naczelnika, a żoną Białego Wilka.

Ta uwaga zdawała się wszystkim słuszną i wszyscy głośno dawali swe potwierdzenie. Jedyny Tlaskala strząsnął głową. Widocznie, że na to przystać nie chce. Ale czy oprze się zwyczajowi?

Tlaskala widząc, że wszyscy są za Białym Wilkiem, zaczekał chwilę, dopóki myśli nie zbierze.

— Moi bracia! — rzekł wreszcie — niech słuchają słów moich. Przypuszczam, że według mego życzenia, pozostawiacie mi Córę puszcz na własność. Właściciel ma zaś prawo swą własnością rozporządzać. Milczenie wasze dowodzi mi, że mam słuszność. Kiedy więc Tlaskala ma prawo do Córy puszcz, może ją das temu, komu mu się podoba. U Komanszów jest zwyczajem, że pierwszy starająay się ma pierwszeństwo. Biały Wilk jest waleczny wojownik, ale i Białodrzew nie mniej jest walecznym. Białodrzew dostanie Córę puszcz, ponieważ już wczoraj o nią się starał. Biały Wilk niech sobie żony dobierze z pomiędzy córek swych przyjaciół i braci. Czyż dziewczęta Komanszów nie są piękne? Czyż nie pracują, jak pszczoły stepowe?

Na te słowa naczelnika byłby odszczepieniec o mało co nie wypadł ze swej roli. Oczy jego zaiskrzyły się w postać zgarbionego Tlaskali.

— Na ten sposób więc chcą mi moje przysługi nagrodzić — wrząsnął — najprzód mnie chwalą, każą mi sobie wybierać, a gdy wybiorę, nie chcą dać. Komansze, wam sąd pozostawiam. Wiem, żeście sprawiedliwi. Mówcie, dostanę Córę puszcz, czy nie?

Zdania się teraz podzieliły, ale widoczna, że większa połowa była po stronie Białego Wilka. Ze wszystkich stron słychać było głosy: Biały Wilk jest wielkim wojownikiem! Dać mu Córę puszcz! Już miano przystąpić do głosowania, gdy Tlaskala jeszcze zażegnał burzę.

— Zaczekać! — zawołał dopóki Białodrzew nie wróci z polowania.

Słowa te nie były bez skutku, i uspokoiły wzburzone umysły. Uważano to za słuszne, aby nieobecnemu naczelnikowi, który koło szczepu niemałe położył zasługi, nie odbierać głosu. Stanęło więc na tem, aby zaczekano.

— Gdzie jest Białodrzew? — zawołał odszczepieniec, który wiedział, że jeźli chce dostać Amalungę, musi kuć żelazo, dopóki jest gorące. Skoroby tylko Tlaskala doszedł do wsi, bezwątpienia przepadłaby jego sprawa. Ztąd też wołał:

— Gdzie jest Białodrzew? Zawołać go!

— Naczelnik przed trzema godzinami udał się na polowanie — odezwał się jeden z Indyan — widziałem jak na step wyjeżdżał.

— Jakto? — wrzasnął odszczepieniec — czy Białodrzew nie zna praw obozowych! Czyż nie wie, że nie wolno polować, kiedy są ognie rozpalone?

Głuche milczenie nastąpiło, wszyscy spuścili wzrok w ziemię, bo to oskarżenie były słuszne.

— Kiedy Białodrzew przekroczył prawo obozowe — zawołał znowu Biały Wilk — to stracił też prawo, aby był wysłuchanym. Niech mi dadzą Córę puszcz, a na zawsze zostanę przy szczepie Komanszów.

I znawu składali się przytomni na stronę odszczepieńcy.

Nagle, i to w sam czas przebiegła zbawienna myśl przez głowę Tlaskali. Wykazał on Komanszom, że w tej sprawie i Córa puszcz winna być słuchaną.

— Przyprowadzić niewolnicę — rzekł — niech sama rozstrzygnie.

Henryk w swem ukryciu wszystke słyszał i widział. Z gorączkową niecierpliwością oczekiwał, co z tego wszystkiego wyniknie. Ostatnie słowa przejęły go aż do głębi serca. Pojmował straszliwe położenie Amalungi, która teraz ma być przymuszoną sama na siebie wydać wyrok potępienia. Powstał więc na nogi i silnie ścisnął rękojeść ostrego sztyletu.

Zasłona szałasu się poruszyła i wyszła Amalunga, dumna niby królowa. Śmiałym, pewnym krokiem zbliżyła się do koła obradujących i stanęła obok Tlaskali.

— Czegóż sobie życzysz mój ojcze od swej córki? — zapytała.

— Naród Komanszów — rzekł Tlaskala drżącym głosem — kazał cię wołać abyś sama rozstrzygnęła. Dwóch wojowników stara się o twą rękę. Jestto Białodrzew i Biały Wilk. Kogo z nich wybierasz?

— Gardzę jednym i drugim, mój ojcze! — odrzekła Amalunga.

— Nie wolno ci pogardzać wojownikiem Komanszów, który jest walecznym — rzekł na to poważnie Tlaskala.

— Tyś mnie wziął do niewoli, szlachetny naczelniku — zawołała Amalunga dumnie — tyś powinien mną się opiekować!

— Chciałem — odrzekł Tlaskala — ale nasze prawo zakazuje mi tego. Jestem obowiązany oddać twą rękę temu wielkiemu naczelnikowi, który jej zażąda, jeźli nie mam jakiej słusznej przyczyny. A któż może co zarzucić Białodrzewowi? któż Białemu Wilkowi? Szczęściem dla mojej córki, że ma wolny wybór. Białodrzew znajduje się na stepie, Biały Wilk oto tam stoi. Kogo wybierasz?

— Trzeba zaczekać, dopóki Białodrzew nie wróci — rzekła z wielką przytomnością umysłu.

Wtem zagadnął Biały Wilk:

— Córa puszcz zna tak dobrze nieobecnego naczelnika, jak i mnie, dla czegoż chce z wyborem czekać?

Słowa te powiedział już dla tego samego, że się obawiał Białodrzewia. Spodziewał się, że Amalunga skłoni się raczej do Indyanina, aniżeli do niego.

Amalunga spojrzała na Białego Wilka okiem najgłębszej pogardy.

— Żądam aby się natychmiast oświadczyła! — krzyknął, ośmielony chwilową ciszą.

Amalunga spojrzała w około. Z twarzy zgromadzonych wyczytała, że i oni życzą sobie natychmiastowego oświadczenia się, a Tlaskala nawet wręcz jej to powiedział.

Dumnie wzniosło dziewczę głowę. Postać jej, oświetlona czerwonym blaskiem płomienia buchającego na ognisku, wydawała się prawdziwie wzniosłą, majestatyczną. Oczy jej pałały

— Kiedy już mam się oświadczyć — rzekła mocnym głosem — to oświadczam, że żadnego z nich nie chcę. Wolę tego tu oto starca pielęgnować, aniżeli zostać żoną jednego z tych dwóch.

Szmer nieukontentowania rozszedł się po zgromadzonych. Biały Wilk, raczej Don Pedro, najwięcej się srożył, i oświadczył, że prędzej nie ustąpi. dopóki Amalunga się za tym lub za tym nie oświadczy.

— Musisz wybierać, moja córko — naglił Tlaskala.

— Kiedy inaczej być nie może — odrzekła Amalunga — to wolę nieobecnego naczelnika, aniżeli tego tam nędznika!

Jakby grom był uderzył w zgromadzenie, tak wszyscy oniemieli na to wcale niespodziewane oświadczenie. Mniemali bowiem, że Amalunga wybierze sobie białego, jako współziomka. Don Pedro zaś skoczył, jakby go żmija ukąsiła.

— Nie chcesz mnie? krzyknął — a jednak moją będziesz, tak, jak się Biały Wilk nazywam!

Na cóż te groźby? — odpowiedział Tlaskala poważnie — czyż sam nie poddałeś się wyrokowi Córy puszcz? Cóż ztąd, że wyrok wypadł na twą niekorzyść? Córa puszcz jest własnością Białodrzewia.... Chodź moja córko!

To rzekłszy, ujął ją za rękę, aby ją odprowadzić do szałasu,

IX.

Zaledwie Tlaskala dał z Amalungą kilka kroków naprzód, gdy Biały Wilk mocnym głosem za nim krzyknął:

— Białodrzew nie żyje!

Tlaskala przystanął, i ze wszystkich ust wyrwał się okrzyk zgrozy:

— Nie żyje?

— Tak, nie żyje! — potwierdził Don Pedro — nie żyje! Ów strumień tam unosi ciało jego do rzeki Rio del Norte. Widziałem jego ciało płynące w strumieniu, jak rybę, w której nie ma życia.

Nastąpiła głucha cisza.

— Biały Wilk — rzekł poważnie Tlaskala — powiedział słowo, które serce nasze zasmuca. Niechże nam teraz powie, jakim sposobem odważny naczelnik umarł, i niech swe twierdzenie udowodni.

— Nic łatwiejszego, jak to — zawołał Don Pedro. — Widziałem jak Białodrzew nieżywy płynął we wodzie strumienia, a mustang jego razem z nim. Zapewne chciał przeskoczyć strumień i wpadł do wody.

Słowa te nie podobały się Komanszom. Widocznie nie wierzyli w prawdziwość tego opowiadania, bo niedowierzająco strząsnęli głowami.

Wtedy odszczepieniec, widząc, że mu nie wierzą, zawezwał zgromadzonych, aby z nim poszli na miejsce, gdzie miał trup się znajdować. Zerwało się kilkunastu, aby z nim pójść, gdy w tem zaszło coś, co ich wszystkich od wykonania zamiaru powstrzymało.

Tajemniczo, niespodziewanie ukazała się postać Białodrzewia w świetle ogniska. Zwolna postać się przybliżyła i nareszcie stanęła postawą, rzecz można, teatralną.

— Biały Wilk chciał mnie zabić — wymówiła owa postać głosem przytłumionym.

Nieopisane wrażenie wywarło owo zjawienie się Białodrzewia i jego tajemnicza postawa.

Indyanie przelękli się, ale któż opisze przerażenie Białego Wilka? Przełożywszy rękę do noża, stał jak wryty z wytrzeszczonemi oczyma mierząc swego przeciwnika od stóp do głowy. Byłże to rzeczywiście Białodrzew, czy też duch jego? Wie o tem, że z tak rozpłataną czaszką żyć nie mógł, a jednakże go widzi przed sobą?

Tylko Tlaskala zachował spokojność umysłu.

— Białodrzew żyje — rzekł — a to cieszy serce naczelnika. Niech mój brat przystąpi bliżej, i posłucha radosnej dla niego nowiny.

Ale Białodrzew się nie ruszył, tylko stał w pierwszej postawie.

— Wielka medycyna*) napełnia mego ducha — rzekł zmienionym głosem — jutro moi bracia ją odemnie usłyszą.

— Córa puszcz należy do Białodrzewia — zawołał Tlaskala — niechże naczelnik weźmie ją pod swoją opiekę.

Po tych słowach schwycił starzec Amalungę za rękę, i zaprowadził ją do rzekomego naczelnika, ciągle jeszcze po za obrębem koła Indyan stojącego.

Pod wrażeniem tej zadziwiającej sceny poszła Amalunga ze starcem. Ale kiedy starzec, oddawszy ją Indyaninowi, odstąpił, kiedy uczuła, że Indyanin pochwycił jej rękę, wtedy przestraszona chciała się wydrzeć i uciec do Tlaskali. Ale rzekomy Indyanin szepnął jej coś do ucha. Na ten szept Amalunga zadrżała, i już nie starała się wyrywać swej ręki.

— Jutro moi bracia dowiedzą się o wielkiej medycynie! — rzekł Białodrzew i udał się rzekomo do szałasu, ale w samej rzeczy skręcił w zarośle, w którego cieniu zniknął Komanszom z oczu.

Tak więc narada wzięła swój koniec w zadawalający sposób. Jedni i drudzy porozchodzili się do swych ognisk, radzi, że słowa Białego Wilka się nie sprawdziły.

Natomiast Don Pedro zgrzytał zębami i przysiągł zemstę temu, kto mu jego zamiary przeciął. Wyższej inteligencyi od swych Indyańskich towarzyszów, domyślał się jakiegoś podstępu, nie mogąc atoli wpaść na myśl, w jaki sposób spłatano mu takiego psikusa. Żeby rzekomy Białodrzew miał być Henrykiem, tego oczywiście pomyśleć nie mógł, jedynie podejrzywał, że to sprawka samych Indyan. Jednakże nie dowierzając wszystkiemu, wyszukał sobie bezpieczne schronienie, zkądby miał łatwą ucieczkę, bo jeźli to był rzeczywisty Białodrzew, to pobyt swój pomiędzy Indyaninami uważał za śmierć niechybną.

Tymczasem rzekomy Białodrzew był już w lasku po za czatami. Ciemność nocy sprzyjała bardzo ich ucieczce.

— Ocaleni! — szepnął Henryk — już nam teraz nic nie zagraża.

— Tysiączne dzięki, kochany kapitanie — zawołała z cicha Amalunga. — Boże litościwy, któżby się był mógł spodziewać takiego obrotu rzeczy! Gdzież mój ojciec?

— Czeka na nas tam na wzgórzu.

— Dalej, czemprędzej spieszmy do niego! — zawołała niecierpliwa Amalunga.

— Tak to szybko nie idzie — rzekł Henryk. — Tam dalej pasą się mustangi Komanszów. Sądzę. że dobrze będzie, gdy wyszukasz twego konia, którego ci Komansze zabrali. Ja sam nie myślę pierwszy uciekać, bo może wyślą pogoń za nami.

Amalunga chwilę się namyślała, a potem poszła z Henrykiem w kierunku, w którym wiedziała, że się konie znajdują. Bez żadnego przypadku dostali się na miejsce. Amalunga znalazła zaraz swego mostanga, który zdawał się ją poznawać, bo spokojnie pozwolił wsieść na siebie. Henryk miał tymczasem z wybranym przez siebie nieco biedy, gdyż mustang rwał się i chrapał. W końcu musiał jednak uledz woli Henryka.

— Teraz naprzód! — zawołał Henryk zarzuciwszy koniowi uzdy. — Tędy pojedziemy na pagórek, a ztamtąd na otwarty step.

Ledwie tych słów domówił już oboje ruszyli cwałem z kopyta, Bynajmniej nie starali się odjechać po cichu i niespostrzeżeni, owszem chcieli Komanszom się pokazać, jak gdyby na szyderstwo. Pędem błyskawicy przebiegli przez stado przelęknionych mustangów i przez przerażone czaty. Będący na straży rzucili się wprawdzie co prędzej do swych koni, aby się udać w pogoń za zbiegami, ale w chwilowem zamięszaniu nie tak łatwo im było wyszukać swych rumaków i wdostać się im na grzbiet.

Oboje uciekający tymczasem już byli daleko, zanim pierwsi z pogoni nadjechali. Na samym przedzie gnał jakiś odważny jeździec, z twarzą wściekłością pałającą. Był to Don Pedro.

Pomimo, że zbiegi wytężali siły, Pedro

---

*) Medycyna u Indyan, znaczy tyle, co czary albo natchnienie od ich boga Manitu.

coraz więcej się zbliżał. Może nie byłoby mu się tego udało, ale mustang Daniela nie chciał jeźdźcowi być posłusznym, więc i Amalunga się opóźniła.

— Jedź naprzód! — krzyknął Henryk — ojciec czeka pod pagórkiem... ja sobie dam radę.

Po krótkiem wahaniu, pognała Amalunga pędem wichru naprzód.

Henryk właśnie przebiegał po nad strumieniem, i to koło drzewa, gdzie jeszcze zapewne leżało ciało zamordowanego naczelnika, jeźli go wilki nie zjadły. Lecz myśl ta tylko przelotem błysnęła w głowie Henryka, gdyż nagle zaświszczało lasso i ujęło go za szyję. Silne targnienie zwaliło go z konia.

Ale zaledwie padł na ziemię, już też był na nogach i zrzucił lasso ze szyi. Dobywszy sztyletu czekał na przeciwnika.

Lecz cóż to? I Don Pedro spadł z konia. Leżał tuż pod drzewem nieruchomy. Henryk przyszkoczył do niego i z przerażeniem spostrzegł, że Don Pedro spadając z konia, uderzył głową tak silnie o drzewo, że sobie czaszkę rozbił i śmierć natychmiast nstąpiła. Pod drzewem znajdował się jeszcze trup naczelnika, zbryzgany teraz mózgiem swego mordercy. Upadek Don Pedra nastąpił, ponieważ mustang jego zląkł się trupa pod drzewem.

— Tu Bóg sam osądził i ukarał mordercę — rzekł Henryk do siebie, siadając na konia swego nieżywego przeciwnika, albowiem mustang pierwszy uciekł, koń Pedra zaś stał przerażony, drżący.

Czas też był wielki, gdyż pogoń już była niedaleka. Ale mustang Pedra był doskonałym wierzchowcem i niezadługo zaniósł go na otwarty step.

Księżyć właśnie wszedł i oświecił okolicę. Ku swej wielkiej radości ujrzał Henryk trapera i Amalungę, czekających już na niego. Henryk co prędzej przesiadł się z mustanga na swego Hektora, a potem wszyscy troje, w towarzystwie obydwóch mustangów indyańskich, które dobrowolnie biegły za nimi, pognali pędem wichru stepem dalej.

Komansze, widząc teraz w świetle księżyca uciekających, podwoli swe usiłowania. Uciekający mogli się wprawdzie spuścić na swe konie, obawiali się jednakże jakiego niespodziewanego przypadku. Niechby naprzykład padł koń, co łatwo na stepie dla licznych dziur i jam stać się może, wtedy popadliby w groźne niebezpieczeństwo.

— Nie chciałbym rozlewu krwi — rzekł Traper — ale zdaje mi się, że tym czerwonym szatanom trzeba trochę napędzić strachu.

— I mnie się tak zdaje — potwierdził Henryk — bo nasze konie nadto zmęczymy.

— O! — zawołała Amalunga — oszczędzajcie ludzi, zastrzelcie im lepiej konie.

Obaj jeźdźcy jednakże nie byli tak czułego serca.

— Jak dwa konie pozbędą się swych jeźdźców — rzekł traper — to to wcale inne wywrze na wszystkich wrażenie. Jedźmy wolno i przypuśćmy ich na strzał.

Zwolnili więc biegu koniom, co Indyan do większego jeszcze pospiechu nakłoniło. Biedacy myśleli, że konie uciekających mdleją.

— Teraz czas — zawołał traper — weź tego na prawo na cel, a ja tego na lewo!

Dwa strzały zagrzmiały po stepie... i dwa konie Indyan pozbywszy się swych jeźdźców, pobiegły w przeciwne strony.

Jakby w dłoń trzasnął, wszyscy Indyanie się wrócili i większym jeszcze pędem uciekali, aniżeli przed tem gonili.

— Acha! — zawołał śmiejąc się traper — nie mówiłem? Lepszy koń bez Komanszy, jak Komansza bez konia!

Zwrócili teraz konie i pojechali za Amalungą, która ich wyprzedziła.

— Młodzieńcze — odezwał się traper — wszystko się na dobre obróciło. Córka moja wolną, a tyś ją ojcu przyprowadził. Amalunga jest twoją.

Henryk zadrżał.

— Ale czy Amalunga na to przystanie? — zapytał nieśmiało.

— Już przystała — odrzekł traper — powiedziała mi to, gdy drżała o twe życie, jakeś pozostał sam z odszczepieńcem.

Henryk wydał cichy okrzyk radości. Wspiął swego konia i wnet znalazł się przy boku Amalungi.

Co tam oboje ze sobą mówili, nie na-

sza rzecz, dość, że niedługo potem chata stała odbudowaną, a traper, Amalunga i Henryk pojechali do Santa Fe, gdzie nastąpił w kościele ślub młodej pary.

X.

Minęło lat kilka od czasu w przeszłych rozdziałach opisanego. Wszystko się zmieniło. Henryk nie wrócił już do wojska, lecz, ile że bogaty, okupił się nad brzegami rzeki Pekos, w prześlicznej okolicy, na pograniczu stepowem. Traper Frank pociągnął z dziećmi. Natura ciągnęła go jednakże ustawicznie na step, na polowanie. Henryk towarzyszył mu czasem, ale niechętnie, ponieważ nie mógł zapomnieć o niebezpieczeństwie, w jakiem się Amalunga sama znajduje, zwłaszcza, że Komansze nie rzadko się pokazywali.

Już było ku wieczorowi, gdy Henryk z Amalungą spostrzegli ze stepu wracającego ojca. Przeciwko zwyczajowi nie jechał na koniu, ale go ostrożnie prowadził za uzdę.

— Co to znaczy — rzekł Henryk — czyby koń jego wywichnął sobie nogę?... Ale nie, ojciec coś przywiązał koniowi na grzbiecie. Zdaje mi się, że to ciało człowieka.

Zostawiwszy Amalungę wybiegł szybko naprzeciw swemu teściowi, jużto pchany ciekawością, jużto aby mu być pomocnym.

— Co to tam? — zapytał zbliżywszy się.

— Znalazłem owego Indyanina na pół zagłodzonego — odpowiedział Frank. — Zapewne w ucieczce koń go zrzucił, a Komansze pozostawili go bezprzytomnego.. To jest Tlaskala — dodał po cichu — dziwnym trafem dostał się mój stary nieprzyjaciel w moje ręce, i to jeszcze w takim stanie!

Wśród rozmowy i rozmaitych domysłów, przybyli obydwaj do domu, poczem Henryk wniósł starca do izby i ułożył go na posłaniu.

W tem wbiegła Amalunga!

— Oto twój przyjaciel i dobroczyńca! — rzekł Henryk.

— Tlaskala! — wykrzyknęła zdumiona Amalunga.

— Tak, to jest Tlaskala — wtrącił traper.

— Wielki Boże! — westchnęła Amalunga — dziwne są twe zrządzenia! Ale jak nędznie ten człowiek wyglądą! Na nim nie ma ani odrobiny ciała, same tylko kości.

Rozmowa głośna przywróciła Tlaskali zmysły. Otworzył oczy, powiódł niemi w koło siebie i wreszcie zawiesił je na Amalundze. Widocznie ją poznawał, bo twarz jego się rozjaśniła. Z trudnością wyciągnął prawą rękę ku niej.

— Córa puszcz! — wyszeptał

Amalunga pochwyciła dłoń.

— Bogu niech będą dzięki — rzekła — że mogę dobremu naczelnikowi odwdzięczyć się za jego miłość i opiekę nademną.

— Córa puszcz jest dobra squaw*) — wyszeptał Indyanin — Tlaskali serce bardzo bolało, gdy ją w owej złej nocy utracił i kiedy podobno z bladolicym uciekła.

Frank słysząc te słowa, skinął na Henryka.

— Czyż mamy Tlaskalę objaśnić co do krewieństwa? — zapytał.

Frank kiwnął głową, a Henryk z Amalungą odszedł na stronę.

— Amalunga — rzekł — mam ci wielką tajemnicę do powiedzenia.

Amalunga spojrzała na męża wielkiemi oczyma.

— Matka twa była Indyanką ze szczepu Komanszów — mówił Henryk — utraciłaś ją jeszcze będąc dzieckiem.

— Wiem o tem — odparła Amalunga — ale do czego to prowadzi?

— Słuchaj mnie do końca — przerwał Henryk — a dowiesz się. Owóż ów chory Indyanin jest ojcem twej matki, a twoim dziadkiem!

— Wielki Bożo! — zawołała Amalunga — czyż to podobna?... Teraz też dopiero rozumiem, dla czego on się ze mną po ojcowsku obchodził, a mnie serce do niego ciągnęło. Naturalny to był instynkt, który bezwiednie pchał nas ku sobie.... Zaraz pójdę mu powiedzieć, jakie węzły pokrewieństwa nas łączą.

— Nie, teraz nie — przerwał jej Henryk — on jeszcze słaby, a nagła radość mo-

*) Squaw, czyta się skou, a znaczy żona, niewiasta.

głaby mu zaszkodzić. Ty masz na ramieniu wykłuty znak węża. Przy sposobności, jakby nieumyślnie, pokaż mu jutro lub później ów znak, a reszta pójdzie gładko.

Amalunga uznała tę uwagę za słuszną. Z wielką pieczołowitością pielęgnowała Indyanina, wiedząc, czem on jest dla niej.

Po kilku dniach, kiedy Tlaskala przyszedł już nieco do siebie, urządziła tak, że jej ramię się odkryło, i naczelnik musiał ów znak zobaczyć.

I zobaczył go też natychmiast.

Któż opisze zadziwienie starca na widok wężyka. Długo nie mógł słowa przemówić, aż wreszcie zapytał:

— Dla czego moja córka ma na ramieniu wykłutego węża?

— Bo moja matka taki sam znak nosiła — odpowiedziała Amalunga.

— Czy matka mojej córki była Indyanką?

— Tak jest, pochodziła ze szczepu Komanszów!

— Manitu jest wielki! — zawołał Tlaskala — Amalunga czyli Córa puszcz może być tylko córką mojego dziecka!

— Tak jest, jam twoja wnuczka! — zawołała Amalunga i chwyciła starca za ręce.

W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł Frank z Henrykiem. Otoczywszy jego łoże, każdy chwycił za jedną rękę. Tlaskala zamknął oczy, a łzy radości wytrysły mu z pod powiek.

Była to najszczęśliwsza chwila w jego długiem życiu!

Ale nie była ostatnia, gdyż stary naczelnik jeszcze wiele przeżył lat szczęśliwych na łonie szczęśliwej rodziny.

KONIEC.

FR. HOFFMAN.

HRABIA I NIEDŹWIEDZIARZ.

PRZEŁOŻYŁA.

PAULINA Z L. WILKOŃSKA.

I.

Zamek w Sokolniczu.

— Nie tak śmiało, Feliksie! Nie tak śmiało! — zawołał mężczyzna lat średnich, wysokiej i szlachetnej postawy, twarzy poważnej i pięknej, na chłopczyka sześcio letniego, który na silnym kucyku uganiał po dziedzińcu zamkowym. Malec zmuszał wierzchowca swojego do coraz ognistszych skoków, że aż w górę wyrzucał piasek, którym dziedziniec był wysypany. — Ali zrzuci ciebie niezawodnie, jeżeli tak bezwzględnym będziesz dla niego!

— Siedzę mocno w siodle, mój ojcze, nie lękaj się o mnie! — odrzekł Feliks ojcu z wesołem spojrzeniem i znowu spiął kucyka ostrogami. — Patrz ojcze, jak dzielnie Ali stąpa! Jak tańczy podemną! Założyłbym się, że z łatwością baryerę ogrodową przeskoczy. Czy spróbować?

— Nie, nie! pod żadnym warunkiem! — zawołał ojciec rozkazująco.

Tymczasem już osadził się chłopiec i przypuścił kucyka ku sztachetom w gwałtownym pędzie do śmiałego skoku, gdy w tej samej chwili ukazała się z poza ogrodzenia jakaś ludzka postać i głos odezwał się szorstki.

— Stój, chłopaku! nie dokonasz tego zuchwalstwa!

Kucyk uląkł się tego zjawiska niespo-

dzianego. i zanim Feliks temu mógł zapobiedź, nagle uskoczył, a mały jeździec z siodła wyleciał i zakreślając sobą półkole w powietrzu, siłą całą upadł na piasek.

Przerażony ojciec krzyknął głośno; a głos jego zmięszał się z drugim, który raczej był szyderczo tryumfującym, a nie oznaczał przelęknienie ani też współczucia.

Ojciec nie dosłyszał tego drugiego głosu. W przestrachu śmiertelnym przybiegł do chłopca, leżącego bez zmysłów na ziemi, a jednak w skulonej kurczowo rączce rzymał jeszcze cugle zestraszonego konia. Ojciec wyrwał je w mgnieniu oka z drobnej dłoni dziecięcej, i gdy kucyk w szalonych susach dziedziniec okrążał, podjął odurzone dziecko i wniósł je po szerokich schodach zamku.

— Ratunku! — grzmiącym zawołał głosem. — Ratunku! Sztajn! Zuzanno! Na Boga, ratujcie! Feliks w ręku moim skona!

Na głośne wołanie pana kilku nadbiegło sług, a pomiędzy tymi i starzec siwowłosy, rządzca domu. Sztajn.

— Cóż się stało, panie hrabio? — pytał Sztajn — Feliks! Przez miłość Boga, cóż się jemu stało?

— Spadł z konia! — odezwał się hr. strasznie strwożony. — Natychmiast po najbliższego lekarza! Biedne moje chłopię! Ani się rusza! Wielki Boże, miej litość! Moje dziecię jedyne! Boże, nie zabieraj mi tej jedynej życia mojego pociechy.

Stary Sztajn, zamiast słuchać rozkazu hrabiego, pobiegł do pokoju, wrócił spiesznie z flaszeczką, wziął na dłoń kilka kropli eteru, natarł nim czoło i skronie chłopczyka, który niemal zaraz oczy otworzył, spojrzał nieco jakby zmięszany na ojca i starego Sztajna, lecz jasno i dojść przytomnie.

— Odwagi, panie hrabio! — zawołał Sztajn radośnie — Feliks żyje i niezadługo całkiem do siebie przyjdzie! Mam nadzieję, że nie będzie potrzeba lekarza. Pan wie przecie, żem i ja kawałek lekarza, a nie widzę żadnego niebezpieczeństwa. Połóżmy małego na kanapę!

Uszczęśliwiony ojciec, że synek żyje, ułożył go na kanapie, a Sztajn poczciwy przekonał się, obejrzawszy go troskliwie, że członki całe. Tymczasem oprzytomniały chłopiec już uśmiechał się znowu do ojca z wyrazem serdecznym.

— Nic mi nie jest, ojcze — wymówił. — Ale na prawdę nie moja to wina, żem spadł. Gdyby pan Albin nie był zjawił się tak nagle i nie nastraszył kucyka, to byłby sztachety szczęśliwie przeskoczył! Co to panie Sztajn?

— Chciałem tylko zobaczyć, mój Felciu, czy której nie złamałeś kosteczki, — odrzekł Sztajn.

— Wszystko dobrze, panie hrabio, niema lękać się o co, — zwrócił się następnie do pana, który z trwogą każde jego śledził poruszenie. — Feliks zdrów jest i rzeski! Na prawem ramieniu będzie siniec, lecz to i wszystko!

— Zdrów jestem zupełnie! — zawołał chłopczyk, zeskakując z kanapy, i machał rękoma po powietrzu. — Nic mi nie jest! Nawet i najmniejszego nie czuję bolu!

— Bogu niech będzie chwała, żeś ocalał, moje dziecko! — wymówił hrabia, wziął chłopca w objęcie i pocałował go czule. — Był to straszny dla mnie widok, mój dobry Sztajnie, widząc jak z konia zleciał. Myślałem, że mi serce pęknie!

— Lecz teraz jest już wszystko dobrze, ojcze najdroższy! — wymówił chłopczyk, tuląc się z miłością do ojca, — i wszakżeż mogę jeszcze trochę dosiąść Alego? Zobaczysz że teraz baryerę przeskoczę.

— Nie, nie, dziecko, to byłoby nadużyciem! odrzekł hrabia, wzbraniając. — Dziś pozostaniesz sobie spokojnie na kanapie. Nie dąsaj się, Felciu! Ja tak chcę i sam będę przy tobie, byś się nie nudził. Nieprawdaż Sztajnie, że tak będzie lepiej?

— Zapewne, panie hrabio. W skutek gwałtownego upadku mógłby był mózg odtrząsnąć się trochę, a chcąc przekonać się o tem, to potrzeba, ażeby Feliks zupełnie spokojnym pozostał do jutra. Pan hrabia pozwoli, to i ja przy Felciu pozostanę, by mu jego uprzyjemnić więzienie.

Hrabia skinął przychylnie, a Feliks z radości w dłonie uderzył i zawołał:

— Tak będzie dobrze! Jeżeli Sztajn przy mnie zostanie, to zachowam się spokojniuteńko. On tak umie bawić się ze mną,

ojcze!... Wiesz co, kochany Sztajnie? Przynieś mi skrzyneczkę z drewienkami do budowania i przysuń ten stół duży do kanapy. Będziemy stawiali zamki, fortece. Sztajn zna się na tem doskonale, ojcze! Kiedyś wystawił Sokolnicz, zupełnie podobnie, z gotyckim wjazdem i czteryma grubemi narożnemi wieżami, że i od razu można było poznać wszystko!

Stary sługa spełnił życzenia chłopczyka, przysunął stół duży, wysypał cały budowany materyał, a Feliks już po chwili tak był zatopionym w plany różne, że nawet o obecności ojca i Sztajna zapomniał.

Hrabia przypatrywał się z zajęciem chłopcu i Sztajn śledził go spojrzeniem badawczem, a jego twarz poczciwa, zmarszczona, coraz więcej zadowolony przybierała wyraz.

— Nic naszemu Felciowi nie będzie, nic wcale! — szepnął hrabiemu do ucha. — Wypadek śladu nie pozostawił. Gdyby sobie był otrząsł mózg, to miałby ból głowy, byłby znużony i spiący, i nie zająłby się tak gorliwie tą zabawą.

— I ja tak sądzę — odrzekł hrabia również cicho. — Dziękuję Bogu z całej duszy, że to wielkie odemnie odwrócił nieszczęście,

— Ale, panie hrabio, jakżeż się to stało, że Feliks spadł z kucyka? Bo chociaż dzieckiem jest jeszcze, to jednak mocno siedzi w siodle i umie Alim kierować, że temu dziwiłem się nieraz.

— Był to nieszczęśliwy wypadek. Gdy Feliks miał sztachety przesadzić, wysunął się pan Albin nagle z poza nich i przestraszył konia, który gwałtownie w bok skoczył, a chłopiec wyleciał z siodła, jak z procy. Był to przypadek, nic więcej, lecz mógł bardzo bolesne sprowadzić następstwa.

— Hm! hm! Przypadek! tylko przypadek i nic więcej? — mruknął stary rządzca i głową pokręcił. — Panie hrabio, ja myślę wszelako, że ten przypadek nie był tak przypadkowym zupełnie, jak to pan w swojem sercu szlachetnem sądzi, niechcąc nikogo podejrzywać.

— O czemże mówisz? — zapytał hrabia dotknięty nagle.

— To jest, panie hrabio, ja nie dowierzałbym kuzynowi pańskiemu, panu Albinowi, ani tak daleko jak go widzę.

Hrabia Robert potrząsnął głową.

— Marzy ci się, mój kochany Sztajnie — odrzekł staremu. — Pan Albin kocha mnie i mojego syna, okazuje on to przy każdej sposobności Feliks całe jego posiada serce. Zresztą, jakiżby miał powód, by nam źle miał życzyć? Jest moim gościem i znalazł tutaj przytułek. Stanowię całą jego nadzieję, bo prócz mnie, nikogo nie ma na świecie; byłby żebrakiem bezemnie, więc ma i silne powody, przywiązanym być do nas.

— Ale, czy pan hrabia pomyślał, że Feliks stoi na przeszkodzie panu Albinowi, by nie wziął kiedyś dziedzictwa po panu? — wymówił Sztajn znacząco. — Gdyby Feliks umarł, to hrabia Albin jest jednym w prostej linii spadkobiercą pańskim i naturalnym dziedzicem całego majątku,

Hrabia zaledwie mógł lekkie stłumić zdumienie, które wywołały wyrazy powyższe dawnego i wiernego sługi. Lecz otrząsł się szybko i powiedział:

— Niedorzeczności, mój kochany! Masz niekiedy dziwne jakieś zapatrywania! założyłbym się, że pan Albin, tak jak i ja, ani pomyślał o sukcesyi po mnie. Felcio jest zdrów, silny i rzezki, jak rybka w wodzie, a strzeżemy go wszyscy, gdyby oka w głowie, ja, ty, stara Urszula i służba cała. Głupstwo. mój poczciwcze! Wybij sobie te rojenia z głowy!

— A ten dzisiejszy wypadek? — obstawał stary przy swojem. — Któż był powodem, że Feliks spadł z konia? — nie był to przypadek z pewnością! Hrabia Albin kucyka nastraszył.

Hrabia Robert z niechęcią znowu głową wstrząsnął. — Jesteś zaprawdę pełnym uprzedzeń gderaczem, mój kochany, — wymówił. — Znam kuzyna od lat wielu, jest on rzeczywiście lekkomyślnym bardzo i marnotrawnie majątek stracił. Lecz to wiem także z przekonania, że nie dopuściłby się nigdy czynu niecnego. Więc i nie rzucaj podejrzeń żadnych! Albin jest przyjacielem moim i kocha Felcia. Byłaby to najczarniejsza niewdzięczność, gdyby do nas nie miał przywiązania. Ty zaś, mój poczciwy Sztaj-

nie, podejrzywasz go i żywisz obawę, by nie stanął kiedyś pomiędzy tobą a przychylnością moją. O co lękać się nie potrzebujesz nigdy, bo pozostaniesz zawsze najdawniejszym i najlepszym przyjacielem moim. —

Hrabia wyciągnął rękę do starego rządzcy, który ją pochwycił i do ust przycisnął.

— Niechaj pana hrabiego Bóg dobry za to nagrodzi! — wyrzekł Sztajn z rozrzewnieniem, — może pan być pewnym, że niemasz wierniejszego nademnie sługi. Gdyby pan tylko więcej na przestrogę starego zważał! —

— Dajmy teraz już pokój, stary przyjacielu! — odparł hrabia. — Znam Albina i nie chcę żadnych podejrzywań słyszeć! —

Starzec westchnął i stłumił odpowiedź, którą już miał na ustach.

— Skoro tak, — mruknął sam do siebie, odwracając się od hrabiego. — to i ja i Zuzanna tem więcej dziecięcia strzedz będziemy, że i włosek z główki jego spaść nie powinien Już to ja nie ufam temu hrabiemu Albinowi! A jeżeli chce działać podstępnie i robić intrygi, to niechaj wie, że ma z ludźmi do czynienia, którzy nie zaspią gruszek w popiele.

Usiadł obok chłopczyka i począł go zabawiać, gdy nagle drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł mężczyzna młody, lat może trzydziestu. i szybko do nich przystąpił. Była to postać kształtna, rysów twarzy wydatnych, ciemnych włosów i zarostu, czarnych niemal oczów, które z pod brwi gęstych jasno błyszczały. Na widok jego Feliks z kanapy zeskoczył i pobiegł ku niemu, lubo że Sztajn chciał go powstrzymać.

— Stryjciu Albinie! — zawołał chłopczyk — dobrze że przychodzisz — i rzucił się w jego rozwarte objęcia. — Musisz poświadczyć, że Ali byłby przeskoczył sztachety, gdybyś temu nie był przeszkodził!

— Poświadczę to z całego serca mój chłopcze, — odrzekł hrabia Albin z przymileniem. — Widziałem już przecie, żeś daleko większe zwyciężał przeszkody tak zręcznie i z taką lekkością. Ale nasamprzód zaspokój mnie i powiedź, jak się masz? — Zemdlałem z przerażenia, gdym widział jak lecisz z konia, i dopiero powoli przyszedłem znowu do siebie.

— Mnie ten wypadek nie zaszkodził wcale, — odrzekł Feliks z uśmiechem. — Ale stryju, pocóżeś mi wzbraniał przeskoczyć przez sztachety? Gdyby nie twoje nagłe ukazanie się, kucyk nie byłby się zląkł.

— Jakżesz mogłem przypuszczać, że mnie ulęknie się Ali? odrzekł hrabia Albin. — Byłem przypadkowo za sztachetami i usłyszałem ciebie mówiącego do ojca, że je chcesz przeskoczyć, wybiegłem zatem, by tej zachowatości zapobiedz. Byłbyś mógł zabić się na miejscu, gdyby przez nie Ali był przesadził.

— Dla czego, stryju? Nie rozumiem!

— Lecz twój ojciec mnie zrozumie, gdy mu powiem, że ogrodnik dziś z rana skopał ziemię poza sztachetami. Gdyby zatem kucyk był przeskoczył, bylibyście oba połamali nogi.

— Tegom nie wiedział, — wymówił hrabia Robert ze znaczącem na starego Sztajna spojrzeniem, który tylko lekkiem poruszeniem ramion odpowiedział. I dziękuję ci z serca całego! A któż mógł wiedzieć, że kucyk się zlęknie?

— Tegom ani mógł przypuszczać! — odrzekł Albin. — Lecz dajmy już temu pokój i dziękujmy Bogu, że mały ten wypadek złych nie ma następstw.

— Na drugi raz będę ostrożniejszym, — odezwał się Feliks. — Znam już teraz wybryki Alego i zapobiegnę im na przyszłość.

Chłopczyk począł wesoło z Albinem gawędzić i ani już zważał na starego Sztajna, który niespostrzeżenie wyszedł z pokoju.

— Szczwany łotr! — mruczał sam do siebie na korytarzu, — nie trudno mu nigdy o wykręty, a jeszcze nadać sobie umiał pozory, jak gdyby był tak troskliwie dobro chłopca miał na względzie. Niechże hrabia dozwala się za nos wodzić, lecz ja znam lepiej panicza i przenikam go na wskroś. Znał on dobrze płochliwość ognistego kucyka, i na niej swój podstępny uknuł planik. Wiedział aż nadto dobrze, że Ali się spłoszy, gdy on nagle wyskoczy, i że rzuci się w bok, co też nastąpiło. A że nas wielkie nie spotkało nieszczęście, to zapewne hrabczukowi czułemu pięknemu tego nie zawdzięczamy; cierpliwości! a panu także otworzą się oczy! Dalej tylko, Boże święty, by nie za późno.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

FR. HOFFMAN.

WUJ I SIOSTRZENIEC

Z niemieckiego wydania

PRZEŁOŻYŁ

STANISŁAW KUNASIEWICZ.

Motto:
Kto w Boga wierzy, nie lekceważy
Jego przykazań.

(Ciąg dalszy.)

"Nie, kochany wuju, tyś powinien o wszystkiem wiedzieć," odpowiedział śmiejąc się Emeryk. "W tej chacie kazano przed kilku dopiero minutami, a za temat do kazania wziął kaznodzieja owe znane ci dobrze rady "kochaj bliźniego, jak siebie samego" i "oddajcie cesarzowi co jest cesarskiego." Nie potrzebuję dodawać, że pod nazwą "cesarz" rozumiał nie kogo innego, jak tylko ciebie wuju, jakkolwiek korona cesarska nie zdobi dotychczas głowy twojej. Krótko, kochany wuju mówiąc: zgromadzeni byli tutaj przed chwilą twoi niewolnicy i z prawdziwem nabożeństwem przysłuchiwali się naukom koznodzieji, dopóki szpieg Mikołaj nie rozegnał ich. Jakkolwiek Mikołaj jest przebiegłym bardzo, lis jednak okpił lisa i bylibyście niczego nie dowiedzieli się, gdybym ja teraz całej prawdy nie odkrył."

Pan Wanderstraten z niemałem jak się zdawało zadziwieniem słuchał całego tego tłómaczenia się siostrzeńca. I w rzeczy samej zadziwienie to musiało być niemałem, już bowiem od dawna skończył Emeryk tłómaczenie, a mimo to milczał pan Wanderstraten i nie mógł wrócić do dawnej przytomności umysłu. I po długim dopiero milczeniu wybuchnął z gniewem: "siostrzeńcze nie byłbym się tego nigdy spodziewał, że ty z moimi nieprzyjaciołmi pójdziesz ręka w rękę. Dosyć tego dobrego! wszelkie względy, wszelka pobłażliwość już się wyczerpały! Powiedz natychmiast kto tu był, którzy wbrew moim zakazom uczestniczili w tem zgromadzeniu, powiedz, a przebaczę ten jeden jeszcze raz, jeżeli zaś chcesz zamilczeć, na ten czas zabieraj wszystkie swoje manatki i wracaj do Europy. Nie żartuje wcale! strzeż się więc!"

"Emeryk potrząsał swoimi ładnymi lokami, a wzrokiem, w którym malowały się prawdziwa szczerość, patrzał na oburzonego wuja. "Kochany wuju — zaczął po chwili spokojnie — gdybym uczynił to, czego wymagasz odemnie, w takim razie miałby zupełnie słuszność nikczemny twój dozorca Mikołaj, byłbym w rzeczy samej takim, jak on mnie nazwał to jest: hultajem. Nie mogę więc, uczynić zadosyć twojemu żądaniu. Chcesz wiedzieć, o czem tu mówiono. a o czem zamierzano jeszcze mówić, najchętniej z przyjemnością nawet opowiem ci to wszystko, ale też i nie więcej."

"Więc zabieraj się, jutro odjedziesz," zakończył pan Wanderstraten. Kto z mymi nieprzyjaciołmi idzie ręka w rękę, ten nie zasługuje, aby go za syna mego uważano i uznawano."

"Dobrze wuju, pojadę," odpowiedział z spokojem Emeryk i powstał z ławki na której dotychczas siedział za stołem. "Nie zapomnij jednak tego, co ci powiem na odchodnem mając już niebawem zabierać się do wyjazdu. "Najlepszymi twoimi przyjaciołami i najwierniejszymi stronnikami są właśnie ci biedni, czarni chrześcianie, któ

rych prześladujesz, najgorszym zaś nieprzyjacielem, dozorca Mikołaj, któremu ufasz i zawierzasz. Wychowujesz i karmisz na piersiach swoich gadzinę, a zanim będziesz miał czas spojrzeć się, już żądło jej jadowite poczujesz w sercu swojem. Uważaj więc, miej się na ostrożności, tak ci radzi twój siostrzeniec kochany wuju," a zwracając się do murzyna dodał: "Herkulesie odprowadź mnie."

Poczem ukłoniwszy się jak najuprzejmiej i z wszelkiem uszanowaniem panu Wanderstraten, skierował ku drzwiom i już miał przekroczyć próg chaty, gdy przywiązanie do siostrzeńca pokonało pana Wanderstraten. Nie zdołał dłużej jeszcze opierać się stałemu, szybkiemu, a jednak pełnemu godności postanowieniu siostrzeńca "Młodzieńcze — zawołał — zostań się tutaj! Słów wuja wypowiedzianych szybko pod wływem gniewu, bez głębszego zastanowienia się, nie powinieneś brać na serjo!"

Z uśmiechem oglądnął się Emeryk od drzwi. "Dobrze wuju, z miłą chęcią zostanę — przemówił — nie żądaj tylko, ażebym zdradził tych dobrych a tak biednych i tyle prześladowanych murzynów, którzy ufając mi, zaprosili na dzisiejsze zgromadzenie!"

"Ha więc zatrzymaj już te tajemnice dla siebie — zawołał pan Wanderstraten śmiejąc się — a teraz chodźże, niech cię uściskam, i jeżeli już chcesz koniecznie należeć do owego spisku przeciwko twojemu wujowi, spiskuj w imię Boże!"

Emeryk rzucił się na te słowa w objęcia starego i dobrego wuja i wycałował go serdecznie, "Nie — zawołał — o zdradzie, spisku nie ma nawet mowy, ja tylko chciałbym przekonać cię wuju, że ci biedni niewolnicy są najwierniejszymi twoimi stronnikami, i o tem pragnę przekonać cię teraz, wierzę bowiem, że w niedalekiej już przyszłości sam postarasz się dla nich o kapłana, który ich nauczać będzie: poznać Boga i dziesięciorga przykazań! Śpij spokojnie kochany wuju! ani wiesz bowiem, ani domyślasz się jakie wierne serca otaczają cię i strzegą, a że tak jest masz zawdzięczać li sobie samemu i dobremu swemu, kiedyś niekiedyś tylko błądzącemu sercu, nie zaś srogości dozorcy twego Mikołaja."

"Chłopcze, pochlebstwom tylko daj pokój!" wołał pan Wanderstraten niby gniewny. "Nic lepiej nie potrafi utrzymać karności pomiędzy niewolnikami jak surowość i czuwanie, a prędzej ty przekonasz się o prawdziwości słów moich i zgodzisz się z mojemi zapatrywaniami, aniżeli ja z twojemi. Na to też liczę, a zresztą spuszczam się na twoje przywiązanie ku mnie i uczciwość. "Jakkolwiek przed chwilą dopiero byłem niezadowolony, wyznać jednak muszę, iż rad jestem już obecnie z tego bardzo, żeś tych hultajów nie zdradził. Kto tak dotrzymuje danego słowa niewolnikowi, niebyłby zdolnym najbliższego krewnego swego podejść i oszukać!"

"Oto słowa płynące wprost ze serca!" zawołał uradowany Emeryk i tak silnie począł ściskać pana Wanderstraten, że tenże aż jęknął. "Poczekamy a prędzej czy później dodasz do tego coś dopiero wypowiedział i to jeszcze: "Kto tak ściśle trzyma się przykazań bożych, kto je tak ściśle wypełnia, nie byłby zdolnym zdradzać swego pana i władcę. Już dzisiaj cieszę się na ową chwilę."

"Tylko bylebyś się zawcześnie nie cieszył chłopcze — odpowiedział pan Wanderstraten — z tobą wprawdzie pokój już zawarłem, nie dotyczy on jednak owych potajemnych chrześcian. Niechaj więc mają się na baczności! bo skoro ich raz pochwycę, będzie wówczas źle z nimi i z nich kaznodzieja. Powiedz to mój siostrzeńcze tym hultajom!"

Po tych słowach wyszedł pan Wanderstraten z chaty, a za nim porucznik, który całemu temu zajściu z niemałą ciekawością przypatrywał się i przysłuchiwał, Emeryk zaś szepnął Herkulesowi: "Nieobawiaj się o twoich braci. Przekonałeś się, że wuj mój ma dobre serce. Wierzcie silnie, a zwyciężycie, wbrew wszelkim podstępom i złościom!"

To powiedziawszy, uściskał rękę czarnego przyjaciela i pospieszył za wujem, aby tych godzin kilka nocnych, jakie jeszcze pozostały, odpoczą[ć]. Dozorca Mikołaj zaś, który nieopodal stał ukryty za krzakami, obaczywszy go, jak wychodził, spojrzał nań

wzrokiem dzikiem i zamruczał: "A gdyby mnie miało nawet życie kosztować, nie spocznę, dopóki niepomszczę się na tobie chłopcze!"

VI.

Przygoda na polowaniu.

Odtąd czuwał Mikołaj jeszcze pilniej, byle tylko pochwycić zgromadzonych znowu razem tych biednych, czarnych chrześcian i szukał jak najpilniej po całych nocach za nowem miejscem zboru. Jakkolwiek w razie, gdyby mu się było udało pochwycić ich razem, niemógł wraz z nimi zniszczyć także i tego, którego śmiertelnie nienawidził, a mianowicie naszego młodego przyjaciela Emeryka, zawsze jednak byłby głęboko zranił serce tego ostatniego w razie gdyby mu się udało było pochwycić ich zgromadzonych i jako takich oddać panu Wanderstraten do ukarania. Były jednak i inne jeszcze powody dla których Mikołaj gorąco pragnął i starał się oddalić młodzieńca od czarnych chrześcian, wszak Herkules swojem postępowaniem przekonywał go z każdym dniem bardziej, jak lgną czarni do białego Massy Emeryka, i jak się do niego przywięzują. A jak długo czarni takimi będą, tak długo będą, także czuwać nad Emerykiem, a więc i najmniejszej nie mógłby mieć nadziei pomszczenia się na nim. Nadto Emeryk sam miał się już teraz na baczności, i dla tego nie udało się dozorcy dotychczas po raz drugi wypłatać takiego figla, jakiego spłatał owego wieczora, kiedy to zatruta strzała przeleciała tuż obok oblicza Emeryka i ugrzęzła w miękkiej korze palmowej. Z każdym dniem wzmagała się chęć zemsty i rozwielmożniała w sercu Mikołaja, z każdym dniem następnym nienawidził Mikołaj młodzieńca coraz więcej, już raz, że ten był dobrym i szlachetnym powtóre, że czuł się przez niego obrażony, a po trzecie i co najważniejsze, ponieważ od przyjazdu Emeryka z Europy, już ani chwili nie miał spokojnej, i żył w ciągłych tylko obawach, aby przybyły niepodowiadywał się przypadkiem, a dowiedziawszy się niedoniósł znowu panu Wanderstraten o sprawkach różnych, które on dotychczas jak najstaranniej ukrywał i osłanał, aby je tylko nie wykryto. A Emeryk miał właśnie wzrok bystry i bezprzestannie obserwował dozorcę, dojrzał też już nie jednej nierzeltelności, innych dorozumiewał się. Brakło tylko na dowodach, bo Mikołaj szczwany lis tak zwykł był wszystko robić, aby pozornie bodaj mógł się kiedyś obronić i usprawiedliwić. Widział on teraz, jak wzrok bystry Emeryka czuwa nad każdym jego krokiem, więc i ta okoliczność niełagodziła bynajmniej, lecz raczej podsycała gniew, zawziętość i pragnienie zemsty. Zły nienawidzi zawsze dobrego, i pała ku niemu śmiertelną nienawiścią w takich nawet razach, kiedy potrzebuje obawiać się jego.

Kilka tygodni upłynęło już jakoś spokojnie od owego zajścia w chacie murzyna.

Niepokojące wieści o nieprzyjacielu z lasów przestały również krążyć, odkąd wojsko przymaszerowało do plantacyi, co więcej Herkules nawet wierzył, że jak na teraz niegrozi z nikąd niebezpieczeństwo, i dla tego oświadczył swą gotowość towarzyszenia Emerykowi na polowanie, na które dzień przedtem zaprosił go Emeryk. Zabrali się więc do czyszczenia broni, lania kul i napełniania rożków prochem, a czyszcząc broń, posprzeczali się nawet. Emeryk bowiem utrzymywał, że dubeltówka damascenka, złotem wykładana, a prześliczną cerską robotą ozdobiona, jest najlepszą bez wątpienia strzelbą w zbiorze broni pana Wanderstraten.

"Nienajlepszą, chociaż najpiękniejszą — przeczył Herkules, i wskazał Emerykowi całkiem zwykłą dubeltówkę — tą trza wziąść, Herkules próbował ją, i wie że zabija na sto kroków, a czasem i więcej. Strzelać można kulami lub śrutem. Bardzo dobra strzelba!"

Aby zaś roztrzygnąć po czyjej stronie słuszność wyszli z pałacu z strzelbami i zmierzyli do orzecha kokosowego. Emeryk chybił strzelając z damascenki, natomiast Herkules pierwszym strzałem strącił orzech.

"Żem chybił — zagadnął pierwszy Emeryk — winą nie broń, tylko własna moja niezgrabność."

"Massa mierzy dobrze — odparł Herkules — na górze dużo jeszcze orzechów, niech

strzela z tej strzelby."

Emeryk wziął więc podaną broń, zmierzył, wystrzelił i strącił owoc.

"Gdyby był jaguar, byłby tak samo upadł — wołał radośnie Herkules — Massa trza strzelać jeszcze, to prawdziwa przyjemność." Herkules nabijał, Emeryk strzelał dalej i niebawem przekonał się, że czarny jego przyjaciel nie bez słuszności zalecał mu ową zwykłą dubeltówkę. Przyrzekł nawet, że innej strzelby nie użyje na jutrzejszem polowaniu, i już zamierzał powrócić do pałacu, gdy wtem zbliżyła się chromiąc stara Ginga i ciekawie zapytała: "Massa czemu strzela, Ginga chce koniecznie wiedzieć.?"

"Myśmy tylko broń próbowali — odpowiedział Emeryk ze zwykłą uprzejmością — ale jutro, jutro mateczko mam zamiar powyganiać jaguar z ich kryjówek i strzelać do pstrych papóg. Herkules będzie mi towarzyszył."

"Massa, lepiej nie iść w góry — odpowiedziała na to staruszka i znacząco pokiwała głową — nie dobrze teraz polować i strzelać."

Słowa te zwróciły uwagę Herkulesa, co prędzej więc począł wypytywać stara Gingę. Emeryk nie mógł ich rozumieć, Herkules bowiem widocznie z umysłu mówił do Gingi tym językiem, którego tylko niewolnicy pomiędzy sobą używają, a więc i oni go tylko rozumieją. Podobnie odpowiadała i Ginga. Lecz natomiast spostrzegł Emeryk po chwili na twarzy Herkulesa wyraz zupełnie różny od tego, jaki miała twarz jego przed tą rozmową.

"Massa lepiej nie iść, — przemówił Herkules zwracając się do Emeryka po rozmowie z Gingą — poczekać jeszcze tygodni kilka."

"A to dla czego? — zapytał młodzieniec — czy miałbyś się czego obawiać?"

"Nieprzyjaciel wypada właśnie teraz z kryjówek — odpowiedział Herkules — Massy nie znają, a prześladują wszystkich białych, na których tylko natrafią. Nie wiedzą, że Massa dobry dla niewolników, gotowi strzelać ze zasadzki zatrutą strzałą zanim Herkulet dojrzy, a wtedy bardzo źle."

Emeryk oddawna już cieszył się na to polowanie, bardzo więc niechętnie słuchał tego odradzania. Niechciał jednak również lekkomyślnie narażać swego życia, postanowił więc posłuchać tym razem Herkulesa, który bez wątpienia lepiej znać musiał wszelkie niebezpieczeństwa, jak on. Lecz nasunęło się Emerykowi na myśl, że przecież psy zabrać można, a te potrafią zwietrzyć nieprzyjaciela, chociażby w oddalonej krył się gęstwinie, wspomniał więc o tem Herkulesowi.

"Tak możeby i uszło — odpowiedział tenże — ale niebezpieczeństwo zawsze wielkie."

"Ale i Bóg wielkie zawsze nad nami, który nas strzeże. — odparł Emeryk — Bądź tylko gotowym Herkulesie, bo jutro raniutko skoro świt wyjdziemy."

Ginga słysząc to postanowienie, znacząco pokiwała głową, poczem wydobyła torebkę z za pasa i wyciągła z niej małą tabliczkę, na której jakaś nieumiejętna ręka narysowała różne postacie zwierzęce. Tabliczkę tę podała Emerykowi, mówiąc: "Massa bardzo dobry dla biednych murzynów, dla tego murzyni również dobrzy dla Massy. Trza wziąść to. Skoro nieprzyjaciel napadnie, pokazać tabliczkę. Nieprzyjaciel będzie widział, że stara Ginga strzeże młodego Massy. Boją się takich przedmiotów, którym boską cześć oddają. Ginga daje taki przedmiot, i dla tego Massie nic nie zrobią."

Emeryk wziął tabliczkę jakkolwiek niewierzył, aby go miała uchronić od niebezpieczeństwa, nieprzypisywał bowiem starej żebraczce tyle władzy nad zdziczałym nieprzyjacielem z lasów. Herkules natomiast ucieszył się bardzo, i już ani chwili niewachał się towarzyszyć jutro swojemu białemu przyjacielowi. "Teraz my bezpieczni mówił — matka Ginga lubi bardzo młodedego Massę i dla tego dała mu tabliczkę."

Nie rzekłszy ani słowa więcej, stara Ginga kiwnęła jeszcze po kilkakroć głową i chromiąc powlokła się dalej. Zuszanowaniem spoglądał za nią Herkules, gdy Emeryk z uśmiechem zdradzającym niedowierzanie oglądał ową tabliczkę.

"Ochroni nas, czy nieochroni — mówił chowając — zawsze jednak zabierzemy ją ze sobą, już choćby dla tego jedynie, aby się nieokazać niewdzięcznym dla starej Gingi."

(Ciąg dalszy nastąpi)

PRZEŚLADOWANA

KROTOFILA W JEDNYM AKCIE DLA SCENY POLSKIEJ

EDMUNDA DRZEWIECKIEGO.

OSOBY:

PAN PIOTR RÓŻEWSKI.
GUSTAW. jego siostrzeniec,
NIEZNAJOMA.
BOGUMIŁ, służący.

Rzecz dzieje się w mieście.

SCENA I.

Bogumił siedzi we fotelu i drzy, nieubrany w liberyję, rękawiczki i w szlafroku. Na stole stoi kande, labr z wypalonemi świecami, obok niego stara, podarta otwarta książka. Po małej pauzie słychać dzwonienie, które staje się coraz silniejszem.

Bogumił *(budząc się).*

Kto tam znowu? zaraz! zaraz! (*zasypia dzwonienie:*) A bodaj go.... nawet człowiekowi nie dadzą się wyspać! (*zasypia dzwonienie.*) Poznaję po dzwonieniu że to mój pan. (*przewraca się na drugi bok.*) Coś mu bardzo pilno! (*dzwonienie silne.*) Coż u licha! Czy się pali! Możesz zaczekać! Ci panowie, to słowo honoru tak postępują z nami, jakbyśmy tylko byli stworzeni na ich usługi (*dzwonienie.*) Zaraz! Idę już. — Gdzież u djabła jego szlafrok, jak go zaraz nie znajdzie, to mi znów niewymyśla. No gdzież ten szlafrok (*spogląda po sobie, staje zaczyna się śmiać*) a przecież mam go na sobie. (*Zdejmuje, przewiesza na krzesełku, dzwonienie*) Idą już idą taki szkandal robić w domu, przecież na skrzydłach lecieć nie mogę, (*odchodzi wolno.*)

SCENA II.

(Wchodzi p. Piotr średnich lat, ale dość żywy, lekko czerwony nos, ubrany elegancko, chociaż bez smaku, kapelusz trochę na bakier, laseczka w ręku, wchodzi środkiem i nuci.)

Kiedy chcę to mogę iść
Kiedy chcę to mogę przyjść
Bodaj nam to kawaleski stan
Człek sobie żyje jak pan.

Nie ma piękniejszych chwil w życiu człowieka, jak chwile kawalerskie. Jak tylko człowiek się ożeni, staje się z zaciętego republikanina, białym niewolnikiem, nie! tego głupstwa nigdy nie popełnię. Prawie wszyscy żonaci mówią do swych połowic: "Droga żono. A mnie djabli po drogiej żonie wolę lepiej za to trzymać sobie taniego służącego. — Nie do uwierzenia wiele oszczędziłem przez mego Bogumiła, to wzór służących (*wchodzi Bogumił*).

SCENA III.

Piotr.

Pewnie znowu spałeś?

Bogumił.

Ja spałem? no przecie pan mnie znasz?

Piotr.

Zapłaciłeś dorożkarzowi?

Bogumił.

Zapłaciłem, tylko że złotówkę nie chciał przyjąć, żądał dwie.

Piotr.

Co? za tak krótką drogę? Spodziewam się, że mu nie dałeś?

Bogumił.

Przecie mnie pan znasz. Pan wie ile ja starań dokładam, aby pańskie finanse na dobrej stały stopie. Takiego ministra finansów, jakim ja jest nie znajdziesz pan w całej Europie. Powiedziałem mu więc nie dam ci więcej jak półtora złotego, i dałem mu dwó złotówkę, ponieważ zaś nie mógł mi zdać reszty, bo nie miał drobnych, ka-

załem mu zatrzymać dla siebie na piwo. Pan wie, że jestem chojny. —

Piotr.

I swą hojność memi okazujesz pieniędzmi? (*pauza*) Zdejm mi frak (*Bog. zdejmuje.*)

Bogumił.

Aj dla Boga! jak ten frak wygląda, co to jest? (*wącha*) To plama z sosu cielęcej pieczeni, tego się wcale nie wywabi, mógłbyś też pan być cokolwiek ostrożniejszym, i więcej uważać na swoje rzeczy. —

Piotr (*bierze szlafrok*).

Jakie ten chłopak ma o mnie staranie.

Bogumił

Kiedy czyszczą codziennie pańskie rzeczy, to o mało mi oczy nie wyjadą na wierzch.

Piotr.

Na dobrze, już dobrze. Czy byłeś w dystrybucyj?

Bogumił.

A jakże! Nie miałem być, przecież mnie pan znasz.

Piotr.

Daj mi cygaro, mam chęć wypalić.

Bogumił.

Ach! cygaro, zapomniałem.

Piotr.

Dla czego?

Bogumił.

Pański golibroda temu winien z którym rozprawialiśmy o polityce. O bo ja i on jesteśmy zapalonymi politykami i tak rozmawiając cygaro zostawiłem.

Piotr.

A gazetę przyniosłeś?

Bogumił.

E! panie, za wiele wymagasz odemnie. — Przecież pan wie że zawsze cygara zawijam w gazetę, więc kiedy cygara zostawiłem, toć i gazetę także. —

Piotr.

A niegodziwcze! Spiesz się i przynoś mi natychmiast gazetę i cygara, po drodze wstąp do cukierni i przynieś mi filizankę czarnej kawy, rozumiesz? Idź więc! (*kładzie się na kanapie.*)

Bogumił.

Idę, już idę! Zawsze mu się czegoś zachciewa (*za drzwiami*) Panie!

Piotr.

Czego chcesz?

Bogumił (*j. w.*

Zamknij pan drzwi na klucz!

Piotr *d. s.*

Co mam wstawać a kiedy mi teraz wygodnie. (*n. s.*) Musiałbym ci znowu otwierać gdy wrócisz, idź, idź!

Bogumił.

Ale panie złodziej wejść może!

Piotr.

Nie będzie on się fatygował, aż na drugie piętro, ma on na dole u bankiera dosyć do wyniesienia. Spiesz się i wracaj.

Bogumił.

Że też pan zawsze chce mieć swoją wolą. —

Piotr (*sam*).

Ah! teraz jest godzina wypoczynku, godzina w której aż nadto czuję jak dobrze jest być nieożenionym. Próżnować jest to prawdziwa przyjemność, nie przeszkadza mi gderliwa baba, hałaśliwe dzieci i przyjaciel domu. Jestem bardzo szczęśliwy z memi przekonaniami i zapatrywaniem się na stan małżeński. Gdyby tylko mój siostrzeniec został takim szczęśliwym. Ale on chce się żenić, wprawdzie zagroziłem mu całą powagą wuja, aby tego głupstwa nierobił.

(Ciąg dalszy nastąpi.)